

Fragmenty książki Andrzeja Olkiewicza *Jak żyć szczęśliwie w innym kraju* pochodzą z wydania polskojęzycznego i zostały tutaj opublikowane za zgodą Autora i Wydawnictwa Czarna Owca:

Tytuł oryginału KONSTEN ATT VARA INYANDRARE

Redakcja Mirosław Konkel

Projekt okładki Martin Fogelström

Adaptacja projektu Magda Kuc

Zdjęcie na okładce Lorrie McClanahan, Melting Pot

Korekta Małgorzata Denys

Copyright © Andrzej Olkiewicz, Genista förlag, 2008

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2010

ISBN 978-83-8015-053-9

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

Nie ma jednego domu, tożsamości, kultury, systemu wartości, które odpowiadałyby wszystkim, natomiast doświadczeniem uniwersalnym jest tęsknota za domem lub krajem rodzinnym.

Stefan Jonsson

Dwie różne strategie adaptacyjne

Nie, nie zamierzałem na stałe pozostać za granicą, a na pewno nie w Szwecji. Chciałem wyjechać jak najdalej, w siną dal, na morza i oceany. Wszystko miało być wielką przygodą, o której mógłbym opowiadać po powrocie.

Wielu emigrantów - byłem jednym z nich - postrzega swój wyjazd jako coś tymczasowego, „epizod” trwający góra trzy, pięć, siedem lat... Chciałem wrócić do domu z opowieściami o przygodach, to było dla mnie najważniejsze, podczas gdy inni postanowili zarobić jak najwięcej pieniędzy, aby móc zbudować sobie dom czy założyć własny biznes. Wszystkich nas łączyło przekonanie, że pobyt za granicą ma charakter przejściowy, a prawdziwa przyszłość czeka nas w domu.

Byli również tacy, którzy prezentowali skrajnie przeciwstawne podejście: od początku zdecydowani byli nie wracać - nigdy. Swą przyszłość zamierzali budować za granicą, nauczyć się języka, a potem odpowiednio ustawić się w życiu zawodowym i społecznym.

Ja sam, choć nie rozumiałem dlaczego i nie próbowałem się nawet wtedy w to wgłębić, najczęściej zadawałem się z ludźmi podobnymi do mnie: niemogącymi sobie znaleźć miejsca, nastawionymi na to, że kiedyś wrócą na ojczyznę łono. Podejrzliwie odnosiliśmy się do osób, które postanowiły zapaść korzenie w nowym kraju, uznając je za zdrajców wspólnego dziedzictwa. Według nas ludzie ci idealizowali nowy kraj, podczas gdy my ocenialiśmy go gorzej od naszej ojczyzny. Widzieliśmy, że oni z kolei patrzą na nas z góry, uważając, że idealizujemy przeszłość, od której oni chcieli uciec.

Obie te grupy rozeszły się na dość wczesnym etapie. Rozwód był spontaniczny, spowodowany wzajemną niechęcią. Wtedy i jeszcze długo potem nie pojmowałem powodów tego stanu rzeczy. Wydaje mi się, że dziś rozumiem, o co w gruncie rzeczy chodziło, a mianowicie o samą decyzję: wracać czy zostać. Decyzja taka narzuca nieuchronnie wybór strategii adaptacyjnej. I to jest punkt wyjścia do mojego podziału emigrantów na dwie podstawowe kategorie: „asymilantów” i „nostalgików”.

Asymilanci

Osoby należące do tej grupy już od pierwszej chwili wyjazdu są świadome tego, że chcą opuścić swój kraj na zawsze i budować życie na nowej ziemi.

Postanowiły nie wracać, w związku z tym starają się wtopić w nowe otoczenie tak szybko, jak to możliwe. Stąd silna motywacja, by nauczyć się języka. Opanowują go na ogół w krótkim czasie i często mówią z dobrym akcentem. Cechuje ich pozytywne nastawienie do wszystkiego, co ich otacza. Wielu z nich konsekwentnie dąży do celu i jeśli trafią na sprzyjające warunki i mają odpowiednie zdolności, osiągają z reguły sukces na polu zawodowym. Często starają się o mieszkanie w „lepszych” dzielnicach. W tej grupie spotykamy najczęściej imigrantów, którzy zmieniają nazwiska.

Ludzie ci dobierają sobie znajomych zarówno wśród miejscowych, jak i wśród rodaków oraz innych imigrantów. Są też jednak tacy, którzy otaczają się wyłącznie rodakami, inni z kolei unikają ich całkowicie, ale niezależnie od tego, z kim przestają, podstawową regułą jest nieoglądanie się za ojczyznę.

W kontaktach z miejscowymi asymilanci chętnie podkreślają, co im się podoba w nowym kraju, zwłaszcza porównując go z sytuacją w ojczyźnie, gdzie większość rzeczy uważają za gorsze. Przez miejscowe otoczenie są na ogół postrzegani jako dobrze przystosowani.

Nostalgicy

Nostalgicy traktują emigrację jako coś tymczasowego - planują wyjazd na kilka lat, aby zarobić pieniądze, ewentualnie zdobyć wykształcenie lub zaznać przygód.

Ludzie ci są uczuciowo silnie związani z ojczyzną. Można wśród nich spotkać osoby, które mimo wieloletniego pobytu w nowym kraju nie nauczyły się porządnie języka, tak jakby jakiś wewnętrzny głos szeptał im do ucha: „to nie jest takie ważne, przecież jesteś tu tylko na trochę, po co się wysilać”. Oczywiście i w tej grupie są osoby, które doceniają znajomość języka kraju, w którym mieszkają, i starają się dobrze go opanować, chociaż z reguły mają gorszą wymowę niż asymilanci.

Charakterystyczne jest jednak to, że początkowe pozytywne nastawienie i zaniepokojenie krajem pobytu gaśnie u nich przy pierwszym zderzeniu z rzeczywistością. Miejscowe społeczeństwo postrzegają jako nieprzyjazne czy wręcz wrogie, a tutejszych ludzi jako całkiem innych niż oni sami. Równocześnie chętnie podkreślają wyjątkowość swego narodu.

Także w towarzystwie swoich nierozumiejących języka nowych krajanów - na przykład na przyjęciach lub w pracy - rozmawiają między sobą w języku ojczystym. (Bywa, ale znacznie rzadziej, że postępują tak również asymilanci).

Co ambitniejsze jednostki spośród imigrantów nostalgicznych mimo to osiągają sukcesy na polu zawodowym, jednak ich postawę wobec społeczeństwa, miejscowej ludności i obyczajów zawsze cechuje pewien dystans czy negatywizm.

Nowy kraj jest stale porównywany z ojczyzną, w której wszystko było lepsze. Po dłuższym czasie najgorsze wady mogą być przedstawione w korzystnym świetle. I tak nawet biedę i dyktaturę - bądź co bądź bezpośredni lub pośredni powód emigracji - zaczynają widzieć z innej perspektywy: bieda przyczynia się w ich pojęciu do umocnienia więzów międzyludzkich, a dyktatura pozwala utrzymać porządek społeczny. Nie mówiąc już o grzecznym zachowaniu dzieci w szkole w kraju ich pochodzenia!

Wykształcenie pomaga integracji

Istnieje szeroko rozpowszechniony pogląd, że ludzie pochodzący z odległych geograficznie i odmiennych kultur szczególnie trudno integrują się w nowym miejscu. Według mnie nie jest to regułą. Jest wiele przykładów, że ludzie z bardzo odległych części świata i kultur potrafią dobrze zaadaptować do nowego otoczenia.

Oczywiście, przedstawicielom bardzo konserwatywnych, tradycyjnych i hermetycznych środowisk, a także osobom o dość niskim wykształceniu może być trudniej nawiązać więź z nowym krajem pobytu. Odnosi się to zresztą również do imigrantów z krajów sąsiednich, a nawet do ludzi, którzy przeprowadzają się z jednego regionu do drugiego w tym samym państwie.

Trzeba jednak stwierdzić, że im wyższy poziom wykształcenia, tym większe zdolności adaptacyjne.

Czasy się zmieniają i my wraz z nimi

O tym, czy integracja jest udana, decyduje w moim mniemaniu stosunek imigranta do ewentualnego powrotu do ojczyzny. Ci, którzy są zdecydowani na zapuszczenie korzeni w nowym miejscu, starają się stworzyć jak najwięcej rozmaitych więzi z nowym środowiskiem. W takim przypadku odległość geograficzna i kulturowa jest bez znaczenia.

Większość emigrantów już w chwili wyjazdu ma jakieś wyobrażenie o tym, czy będą chcieli kiedyś wrócić, czy nie. W przypadku osób, których wyjazd został wymuszony przez wojnę lub katastrofę żywiołową, sytuacja jest odmienna. Nie są zdolne do budowania planów na przyszłość, gdyż pełnej uwagi domaga się od nich teraźniejszość. Potrzebują czasu na rozeznanie się w sytuacji, zanim zaczną planować swoje dalsze życie. Opis tych dwóch strategii jest oczywiście bardzo uproszczony. Różnice wewnątrz opisanych przeze mnie grup imigrantów są znaczne, a granice nie zawsze wyraźne. Zdarza się również, że emigranci nostalgiczni stają się asymilantami albo odwrotnie.

W większości przypadków swoje robi czas lub okoliczności, na przykład urodziły się i dorastają dzieci, które nie wyobrażają sobie przeprowadzki do ojczyzny rodziców. Powrót może też się wiązać z pogorszeniem sytuacji finansowej. Może być też tak, że zapuściło się korzenie w nowym miejscu i przyjaciele są już tu, nie zaś w starym kraju.

Jedni przez całe życie zachowują ten sam pogląd, zarówno na stary, jak i nowy kraj. U większości jednak - dotyczy to na równi nostalgików, jak i asymilantów - to zapatrywanie z czasem zmienia się mniej lub bardziej. Niektórzy „miotają się”, to znaczy przechodzą etap sprzecznych uczuć: od potępienia do idealizowania stosunków panujących bądź to w ojczyźnie, bądź to w nowym kraju. Jest to długi proces, który z biegiem lat pozwala stworzyć zniuansowany, prawdziwy obraz obu krajów. Wtedy też rodzi się uczuciowa i rozumowa akceptacja obecnej egzystencji.

Zniuansowany obraz rzeczywistości i przyjęcie wyważonej postawy ułatwia zbliżenie się obu grup imigrantów, mimo ich zasadniczo przeciwstawnych strategii. Gdy nastawienie staje się bardziej neutralne i

akceptujące, krąg się zamyka. Zbliżenie nie oznacza jednak zjednoczenia. Lata separacji sprawiły bowiem, że obie te grupy poruszają się w odmiennych środowiskach.

Istnieje jednak pewna kategoria osób, które zatrzymują się na pierwszym etapie emigracji: wyjechali fizycznie, ale duchem pozostają w stronach rodzinnych. Żyją w poczuciu nieustannej tęsknoty za tym, co utracili, i wiecznego niezadowolenia z tego, co mają.

(.....)

Zostać wyrwanym.

Zostawić wszystko.

Błagać o azyl.

Przeobrazić się z Ja w Uchodźcę -z Ja w Obcego.

Siv Widerberg i Vrveka Heyman —

Tożsamość

Większości z nas przydarzyła się kiedyś nieprzyjemna sytuacja, kiedy czuliśmy się niedostrzegani, choćby na przyjęciu, na którym nie zna się nikogo. Każda rozmowa zaczyna się od przedstawienia się, ale po kilku nic nieznaczących uwagach rozmówca znika, kierując się do swoich znajomych. Imigrant doświadcza tego codziennie przez wiele lat.

Mieszkaniec kraju gospodarzy pyta: „Skąd jesteś?” - i otrzymawszy odpowiedź, nie jest już ciekaw dalszego ciągu. My tymczasem odebraliśmy pytanie jako zaproszenie do dłuższej rozmowy i czujemy się dotknięci i zawiedzeni jej nagłym przerwaniem.

Tożsamość narodowa

W ojczyźnie kwestia narodowości nie miała większego znaczenia, jeżeli nie pochodzi się z kraju, w którym występują konflikty etniczne. Tymczasem za granicą narodowość staje się nagle istotną częścią naszej tożsamości. Jesteśmy jej bardzo świadomi. Ale gdy rodzimi mieszkańcy pytają nas o nią, reagujemy często negatywnie. Niewinne pytanie ze strony miejscowych — „Skąd jesteś?” - może budzić nieprzyjemne skojarzenia. Jest odbierane jako przypomnienie, że nie należymy do tego społeczeństwa.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że bycie innym jest dla wielu z nas całkiem pociągające. Chcielibyśmy mieć poczucie przynależności i jednocześnie być postrzegani jako inni - równanie, które nie powinno być niemożliwe.

Człowiek chce być postrzegany jako jednostka wyjątkowa, o własnej tożsamości, a nie tylko jako cudzoziemiec czy imigrant. Tożsamość buduje się poprzez współdziałanie i współpracę z innymi ludźmi. Tymczasem dawne relacje zostały zerwane, a w nowym miejscu nie powstały jeszcze nowe. Lisa Irenius i Madeleine Levy opisują to tak:

Za granicą określenie „Szwedka” zastępuje opis osoby – wystarczy powiedzieć, skąd się przyjechało. To nie tylko nie zadowala, ale też ogranicza. Na przykład to jest bardzo męczące, gdy nowo poznane osoby po ustaleniu, skąd jesteśmy, zaczynają pytać o Szwecję, próbując porównywać „typowo szwedzkie” z „typowym francuskim” albo z „ hiszpańskim ”. W niektórych przypadkach można to nawet odebrać tak, jakby określenie „ Szwedka ” zmieniało nas w dość zabawny obiekt, którego nie sposób traktować poważnie.

Człowiek, który zmienił kraj zamieszkania, znajduje się nagle w zupełnie nowej sytuacji: uproszczonej tożsamości. Nie jest już osobą posiadającą różnorodność szczególnych cech osobowych, lecz przede wszystkim „cudzoziemcem” lub „imigrantem”, ewentualnie „Norwegiem”, „Somalijczykiem”, „Francuzem”, „Turkiem”, „Amerykaninem”, „Niemcem”, „Słowakiem”. Miejscowym nasza narodowość jest często dość obojętna, a ich wyobrażenie o geografii - mgliste. Węgier może być nazywany Bułgarem, Szwed - Szwajcarem, a Chilijczyk - Argentyńczykiem. Można też zostać zaszufadkowanym jako Środkowoeuropejczyk, Azjata, Afrykanin, Latynos, Arab, czarny albo muzułmanin, podczas gdy osobnik o rysach mongolskich zostaje Chińczykiem lub Japończykiem.

Strategie obronne

Zdarza się, że przed pytaniem, skąd jesteśmy, „bronimy się” przez udzielanie absurdalnych odpowiedzi. Udajemy, że nie rozumiemy, o co chodzi, i wymieniamy na przykład obecne miejsce zamieszkania zamiast kraju pochodzenia. Niektórzy wskazują nawet jakieś kompletnie niewiarygodne i egzotyczne państwo, z którego na pewno nie mogli przyjechać. Tego rodzaju odpowiedź nie pomaga ani nam, ani naszej sprawie. Nie zwiększa prawdopodobieństwa nawiązania kontaktu. Jedynie prawdziwa odpowiedź mogłaby może zaciekać, wzbudzić chęć do głębszej rozmowy i znajomości.

Jak długo będziemy mieszkać w obcym kraju, nie zdołamy nigdy uniknąć pytań o pochodzenie. Co na to poradzić? Tylko jedno: pogodzić się z tym. Z czasem, gdy najgorsze z naszych imigranckich frustracji osłabną, pytanie „Skąd pochodzisz?” -będzie oddramatyzowane. Przestanie już budzić emocje.

Powinniśmy też pamiętać, że pod tym względem my, imigranci, nie jesteśmy wyjątkiem. My również pytamy nowych znajomych o pochodzenie. Ciekawość budzi nieznaną dotąd dialekt albo odmienny wygląd. Jako cudzoziemcy stoimy na równorzędnej pozycji z osobą pytaną, stąd nasze pytanie nie jest odbierane jako prowokacyjne. A pytamy, bo zarówno „miejscowych”, jak i imigrantów popycha do tego bardzo ludzka, wspólna nam wszystkim cecha - ciekawość.

Gdy nie traktują nas jak cudzoziemców

Zdarza się, że „miejscowi”, zapominając o naszym pochodzeniu, zaczynają bez żenady ujawniać swoją niechęć bądź uprzedzenia wobec imigrantów. Kto przypomina swoim rozmówcom, że też jest cudzoziemcem, może dostać odpowiedź: „Tak, ale ty jesteś inny, nie jesteś jak oni”.

Moi sąsiedzi, skądinąd bardzo sympatyczna para, opowiadali mimochodem: „Od lat pięćdziesiątych mieszkali tu trzy rodziny estońskie, ale oni byli tacy jak my — w ogóle nie byli tacy jak wszyscy inni imigranci, żyjący z zapomogi”. Mimo że moi sąsiedzi wiedzieli, że jestem cudzoziemcem, zaliczyli mnie do takich jak my.

Uważam, że nie należy godzić się na takie stawianie sprawy, dające złudne poczucie bezpieczeństwa, bo to, co dziś mówią o innych, jutro mogą powiedzieć o mnie czy o nas. Wielokrotnie bywałem świadkiem takich bynajmniej nie świętych przymierzy, gdy imigrant i „miejscowy” odnajdują się we wspólnej niechęci do jakiejś określonej grupy imigrantów - lub nawet do wszystkich cudzoziemców. Niezrozumiałe jest to, że „wybrany” imigrant z jakiegoś dziwnego powodu postrzega siebie jako wyjątek, stojący ponad wszystkimi innymi imigrantami.

Sami też popełniamy ten sam grzech zarówno w stosunku do miejscowych, jak i do innych imigrantów. Zdarza się na przykład, że miejscowy, uznany przez grupę imigrantów za sympatycznego, słyszy od nich: „Ty jesteś inny, nie jesteś typowym tubylcem, jesteś taki jak my” - co ma oznaczać, że osoba ta jest lepsza od swoich rodaków.

Wrzuceni do jednego worka

Politycy, media i poszczególne osoby używają często zaimka „my”. „My, Amerykanie”, „my, Arabowie”, „my, Europejczycy”, „my, ludzie Zachodu”... Gdy miejscowi lub imigranci mówią o sobie „my”, sprawia to, że wyłączają jedną grupę ze wspólnoty, nadając sobie i mnie cechy, których z osobna nie posiadamy. Słowo „my” narzuca pewną tożsamość, która - w najgorszym wypadku - przekształca nas w ryczący tłum, sterowany gorączkowym podnieceniem zamiast rozumem. A to jest niebezpieczne.

Słowa „my” i „wy” zawsze niosą w sobie groźbę upraszczających uogólnień. Użycie zaimka „wy” może oznaczać, że jeden cudzoziemiec- przestępca wpłynie na postrzeganie całego narodu, a być może w ogóle wszystkich cudzoziemców. Równie niebezpieczne może być nieostrożne obchodzenie się z zaimkiem „my”, czego dopuszczają się zarówno „miejscowi”, jak i imigranci. Witold Gombrowicz pisał o tym:

Autodydaktyczne „my”... My, Polacy, jesteśmy tacy a tacy... Nam, Polakom, zdarza się to a to... Wadą nas, Polaków, jest, że... [...] Czai się więc za taką pozornie skromną uwagą wcale spory ładunek zarozumiałości... —

Zmieniająca się tożsamość

O naszej tożsamości decydują przypadek i okoliczności. Nie mamy wpływu na to, kim są nasi rodzice. Pierwszą tożsamość otrzymujemy od tych, którzy nas wychowują. Oni sami również są produktem społeczeństwa, w którym żyją, państwa, narodu, kultury, religii i obowiązującej w danym momencie

ideologii. Nasza tożsamość podlega zmianom - inni jesteśmy jako dzieci, jako dorośli i jako ludzie starzy. Poczucie tożsamości nosimy w sercu, nie musi ona mieć cokolwiek wspólnego z krajem zamieszkania ani z językiem, którym mówimy. Możemy utożsamiać się z pewną grupą narodowościową, a mimo to mieć inny język ojczysty. Możemy również mieć więcej niż tylko jedną tożsamość - narodową, państwową, religijną czy językową.

(.....)

*...i w tym chaosie usłyszałem głos, który mówił:
„Uśmiechnij się i ciesz się, bo mogło być gorzej”.
Więc uśmiechnąłem się, ucieszyłem i zrobiło się gorzej.*
Anonim

Imigranckie frustracje

Pewien przyjaciel opowiadał mi o znajomych Polakach, którzy trzydzieści pięć lat temu osiedlili się w Danii:

„Nie rozumiem ich! Mają olbrzymie mieszkanie w najlepszej dzielnicy Kopenhagi. Osiągnęli sukces zawodowy, teraz także ich dzieci robią wielką karierę. Mimo to bez przerwy narzekają na Danię i Duńczyków, zawsze wszystko tłumaczą sobie jak najgorzej i mówią: «Życie w Danii jest paskudne!»”.

Kiedy powtórzyłem tę historię innemu przyjacielowi, uśmiechnął się i powiedział: „A nie pamiętasz, jak sami bez umiaru narzekaliśmy na Szwedów? Ile im zarzucaliśmy? Właściwie wszyscy imigranci powinni przechodzić kilkuletnią kwarantannę. Sęk w tym, że lecznictwo otwarte jest w tym przypadku skuteczniejsze - życie w społeczeństwie jest jedynym środkiem zaradczym”.

Nazywam tę negatywną postawę „imigrancką frustracją”. Dopada nas, gdy zmieniamy kraj albo środowisko zamieszkania - niezależnie od narodowości, rasy, wyznania, zawodu czy statusu społecznego. Wyraża się natomiast różnie: jedni bez ogródek dają wyraz swej frustracji, podczas gdy wykształceni owijają ją często w bawełnę wyszukanych wywodów.

Typowym przykładem imigranckiej frustracji jest nieustanne denerwowanie się, że gospodarze nowego kraju są inni niż my – bez przyjmowania do wiadomości, że jest to rzecz, na którą nie mamy najmniejszego wpływu. Nie przychodzi nam też do głowy, że w rzeczywistości to my jesteśmy inni. Zjawisko to może występować nawet u osób, które już od dawna mieszkają w nowym kraju.

Skąd bierze się frustracja imigrantów?

Na ogół w chwili przybycia do nowego kraju mamy na jego temat pozytywne wyobrażenie oparte na oczekiwaniach, że teraz nasze życie zmieni się na lepsze. Jeżeli jesteśmy uchodźcami, spodziewamy się przede wszystkim, że znajdziemy bezpieczeństwo. W przypadku emigracji z przyczyn ekonomicznych oczekiwanie dotyczy wyższego poziomu życia. Natomiast poszukiwacz przygód liczy na ekscytujące przeżycia.

Wrażenie jest wiele, zwłaszcza w pierwszym okresie. Niemal wszystko, co składało się na dotychczasowe życie, zostaje zamienione na nowe i nieznanne. Rodzi się potrzeba ułożenia tego w logiczną całość, a droga do niej wiedzie przez stworzenie sobie obrazu nowego otoczenia.

Co zrobić, gdy poszczególne kawałki puzzli nie przylegają do siebie?

Problem w tym, że początkowo nie dociera do nas, że mamy do czynienia z dwoma różnymi zestawami puzzli. Nieświadomość tego powoduje, że próbujemy do obrazka nowego kraju, którego zresztą na razie znamy tylko fragmenty, dopasować dotychczasowe doświadczenia, czyli kawałki starych puzzli w postaci zasad, norm oraz kryteriów postępowania obowiązujących w kraju rodzinnym.

Różnice, które początkowo wydawały się interesujące, w codziennym życiu stają się trudne do zniesienia. Aby nie zadawać sobie trudu, spotykamy się najczęściej tylko we własnym gronie, z rodakami, krajanami czy współwyznawcami. Miejscowi na takich zgromadzeniach są niezmiernie rzadkimi gośćmi. Winą za to niepowodzenie obarcza się głównie „miejscowych” - ich rzekomo inną mentalność. W zapomnienie

poszły optymistyczne deklaracje z czasów przed emigracją „Co kraj – to obyczaj” i „Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one” - O łatwym i bezbolesnym dostosowaniu się do zasad obowiązujących w nowym kraju. Najłatwiej jest przyjąć, że to, co inne, jest złe.

W rozmowach towarzyskich roztrąsane są i oceniane różnice między starym i nowym krajem. Nasze zasady postępowania są racjonalne i logiczne, w przeciwieństwie do ich zasad. Chodzi o to, by udowodnić, że nasz sposób życia jest znacznie lepszy. Potem, już jako „fakt niezaprzeczalny” jest to przekazywane dalej osobom znajdującym się w podobnej sytuacji. Takie „fakty” żyją później własnym życiem. Próba polemiki skazana jest na porażkę, odmienne poglądy są odrzucane. Szuka się różnic, nie podobieństw, a proste, emocjonalne wyjaśnienia łatwiej trafiają do przekonania niż rzeczowe argumenty.

Pokusa, by winę za swoje problemy rzucić na „miejscowych”, jest bardzo silna. Wprawdzie wpływa to na poprawę samopoczucia grupy, ale jednocześnie wzmacnia uprzedzenia, bo wyznacza linię oddzielającą „nas” od „nich”.

Im dłużej mieszka się w nowym kraju, tym bardziej zniuansowany staje się jego obraz. Zaciera się też podział na „my” i „oni”. Przyjdzie nam to łatwiej, jeśli w miarę wcześniej uświadomimy sobie, że teraz mieszkamy tu i nawet jeśli nie tego chcieliśmy, taka jest rzeczywistość.

(.....)

[Tureccy imigranci], którzy w latach sześćdziesiątych pierwsi przyjechali do Niemiec, nauczyli się mówić po niemiecku na tyle, żeby radzić sobie w pracy i nic więcej. - Przecież tu nie zostaniemy - mówili sobie i swoim dzieciom, mającym tureckich kolegów i zawierającym między sobą małżeństwa, z których rodziły się kolejne tureckie dzieci o jeszcze słabszej znajomości języka niemieckiego.

Asa Nyquist —

Dzieci a język

Kiedy urodziły się moje dzieci, postanowiłem rozmawiać z nimi w moim języku ojczystym. Dziś się cieszę, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak wyboista będzie ta droga.

Presja ze strony języka, którym mówi otoczenie, jest olbrzymia. Oddziaływanie języka ojczystego rodziców na dziecko nie da się porównać z oddziaływaniem otoczenia, na przykład przedszkola i szkoły. Podtrzymywanie języka wymaga nie tylko silnej motywacji i samodyscypliny, ale również miłości i radości.

Dla człowieka, który mieszka na obczyźnie, język to kwestia emocjonalna. Wybór języka, w jakim będziemy rozmawiać z dzieckiem, wynika, jak sądzę, z uczuć spowodowanych aktualną sytuacją życiową. Nawet jeśli nam się wydaje, że potrafimy rzeczowo uzasadnić ten wybór, dyktują go jednak emocje. Nie sposób rozstrzygnąć, w którym języku należy zwracać się do swoich dzieci. Nie ma jednej recepty. Każdy robi to, co uważa za słuszne i właściwe w danym momencie.

Część rodziców decyduje się rozmawiać z dziećmi w ojczystym języku, co oznacza, że dzieci dorastają w środowisku dwu-, a czasem wielojęzycznym. Umożliwia im to utrzymywanie kontaktów z krewnymi i z kulturą kraju pochodzenia, w przyszłości zaś ułatwi na przykład studia czy pracę w obu krajach.

Inni rodzice decydują się rozmawiać z dziećmi w języku kraju zamieszkania. Różne mogą być tego powody. Uważają, że dzięki temu dzieciom będzie łatwiej wtopić się w otoczenie. Być może też czują się skrępowani, rozmawiając z dziećmi w języku, którego otoczenie nie rozumie.

Cztery sytuacje językowe

Wyboru języka czy języków, jakimi będą mówiły dzieci, dokonują zatem rodzice. Rodziny imigranckie mogą jednak różnie wyglądać. W jednej rodzice pochodzą z tego samego kraju, w drugiej - z różnych krajów, w trzeciej zaś jedno z rodziców jest imigrantem, a drugie rodowitym mieszkańcem.

Gdy rodzice mają ten sam język ojczysty

Zaletą sytuacji, w której oboje rodzice rozmawiają z dziećmi w ich wspólnym języku ojczystym, jest to, że dziecko nauczy się mówić językiem rodziców. Wadą natomiast to, że może upłynąć sporo czasu, zanim dzieci nauczą się języka kraju, w którym mieszkają. W powszechnym mniemaniu nauka nowego języka przychodzi dzieciom bardzo łatwo. Nie jest to zgodne z rzeczywistością. Wielu rodziców obserwuje, że opanowanie języka nowego kraju zabiera dzieciom dużo czasu, a przestawienie się jest trudne.

Gdy każde z rodziców mówi do dzieci w swoim języku ojczystym

Zdarza się, że rodzice mówią do dzieci w dwóch różnych językach, z których żaden nie jest językiem kraju zamieszkania. Znam wiele takich rodzin i we wszystkich było to doświadczenie pozytywne. Nikt z rodziców nie stwierdził też, że z tego powodu dzieciom było trudniej nauczyć się języka kraju gospodarzy.

Zapytałem kiedyś językoznawcę, jak to się dzieje, że dzieciom z rodzin dwujęzycznych jest wyraźnie łatwiej nauczyć się języka kraju zamieszkania niż tym z rodzin jednojęzycznych. Otóż dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że dzieci dwujęzyczne na dość wczesnym etapie „rozumieją”, że można mówić różnie. To sprawia, że mają wewnętrzną gotowość na spotkanie z kolejnym językiem.

Dzięki takiej sytuacji dzieci już w okresie dorastania opanowują trzy języki i mogą się komunikować z krewnymi w krajach pochodzenia rodziców, a także z mieszkańcami kraju gospodarzy. Bywa jednak, że rola jedynej osoby rozmawiającej z dzieckiem w danym języku jest dla rodzica trudna. Brak mu wsparcia. W dodatku jeśli tym językiem mówi z dzieckiem tylko jedna osoba, a nie cała rodzina i ludzie z najbliższego otoczenia, język staje się ubogi. Opanowanie przez dzieci języków rodziców wymaga pełnego zaangażowania zarówno ze strony matki, jak i ojca. Dobrze też, aby oboje znali język partnera, przynajmniej do pewnego stopnia. W przeciwnym wypadku w rodzinie będzie łatwo o konflikty i nieporozumienia.

Jedno z rodziców mówi w języku ojczystym, drugie w języku kraju zamieszkania

W rodzinie, w której jedno z rodziców rozmawia z dziećmi w języku ojczystym, a drugie w języku kraju zamieszkania, plusem jest to, że dzieci wczesnie opanowują oba języki. Dzieci te już od początku komunikują się swobodnie z otoczeniem, nie mają też problemów z przestawieniem. Jednocześnie potrafią porozumieć się w kraju pochodzenia ojca lub matki. Problem rodzica-imigranta polega na tym, że czuje się osamotniony w roli jedynej osoby przekazującej język.

Aby to się powiodło, niezbędne jest pozytywne nastawienie drugiego z rodziców i popieranie współmałżonka. I znów znajomość – choćby w ograniczonym stopniu - języka partnera pomogą zminimalizować ryzyko nieporozumień i konfliktów w rodzinie.

Oboje rodzice rozmawiają z dzieckiem w języku kraju zamieszkania

Kobieta, której rodzice wyemigrowali do USA ze Szwecji w latach dwudziestych, opowiadała, że rozmawiali z nią po angielsku, aby jak najszybciej wrosła w amerykańskie otoczenie i została Amerykanką. To samo zrobiły inne rodziny szwedzkie w najbliższym otoczeniu. Znajoma powiedziała: „Wydaje mi się, że przyczyną tego było to, że nie chcieli oglądać się wstecz, ponieważ przeszłość kojarzyła im się wyłącznie z biedą i niedostatkiem”.

Znam wielu imigrantów, którzy postanowili rozmawiać z dziećmi w języku kraju osiedlenia nie tylko dlatego, by im ułatwić asymilację, ale także dlatego - zwłaszcza w małżeństwach mieszanych - że używanie ojczystego języka sprawiało kłopot.

Czasem wynika to również z tego, że z jakiegoś szczególnego, emocjonalnego powodu imigrant chce się odciąć od kraju pochodzenia.

Dzieci odpowiadają w języku kraju zamieszkania

Bywa, że dziecko, do którego zwracamy się w naszym języku ojczystym, odpowiada w języku kraju zamieszkania. Dzieci są praktyczne, wybierają język, w którym najłatwiej im się wyrazić. Nie widzą problemu w tym, że mówi się do nich w jednym języku, a one odpowiadają w innym. Nie ma co drzeć szat z tego powodu, tylko być wytrwałym i nadal rozmawiać z dzieckiem we własnym języku. Należy się również przygotować na brak wsparcia językowego ze strony rodaków. Kto nie znalazł się wcześniej w takiej sytuacji,

najczęściej nie umie się w niej odnaleźć i sam zaczyna mówić do dziecka w języku kraju zamieszkania. Niestety. Człowiek czuje się wtedy bardzo osamotniony.

W naszym domu ja rozmawiałem z dziećmi po polsku, a moja żona Szwedka - po szwedzku. Problem polegał na tym, że sporo przebywałem poza domem, bo jako geolog często pracowałem w terenie. Kiedy spoglądam wstecz, nie mogę się nadziwić, że dzieci tak dobrze nauczyły się polskiego. Jednak kosztowało to wiele wysiłku.

Najgorsza była chwila, kiedy zorientowałem się, że dzieci nie zawsze mnie rozumieją. Stało się to pewnego dnia, gdy nasz syn był w wieku czterech lat. Nagle nie chciał już, żebym mu czytał bajkę na dobranoc, miała to robić mama. Rozwiązaliśmy to w ten sposób, że przez pewien czas czytałem mu po szwedzku, by stopniowo wrócić do czytania po polsku. Sytuacja powtórzyła się parę lat później, gdy jego młodsza siostrzyczka również miała cztery lata. Ten sam problem i to samo rozwiązanie. Z czasem dotarło do mnie, że bajki były pisane językiem znacznie bogatszym, niż ten, którym mówiliśmy na co dzień. Dzieci po prostu nie rozumiały poszczególnych słów.

Jakiś czas potem poczułem się niezmiernie zmęczony sytuacją, w której byłem dla dzieci jedyną osobą mówiącą do nich po polsku i w desperacji zapytałem, czy wolą, żebym z nimi rozmawiał po szwedzku. Oboje odpowiedzieli kategorycznie, że nie, w związku z czym już nigdy nie ponowiłem tego pytania.

O czym należy pamiętać

Uczyć czy nie uczyć dziecka swojego języka ojczystego - o tym każdy musi decydować sam.

Oba rozwiązania mają swoje wady i zalety.

Zdarza się, że dzieci, gdy dorosną, żałują, że nie nauczyły się języka ojczystego rodziców. Uważają, że straciły okazję, by poznać język niejako bez wysiłku. Mówią: „Szkoda, że nie rozmawiali ze mną w swoim języku, bo miałbym go za darmo!”.

Nie pojmują, ile rozterek i wysiłku towarzyszy rodzicom, gdy rozmawiają z dziećmi w ojczystym języku. Zwłaszcza tym rodzicom, którzy jak ja, są jedyną osobą mówiącą do nich w tym języku. Oto parę wskazówek:

- Pozytywne nastawienie do języków obojga rodziców jest bardzo istotne, niezależnie od tego, w którym z nich rozmawiasz z dziećmi.
- Jeśli w twojej rodzinie tylko ty mówisz do dziecka w swoim języku ojczystym, postaraj się o wsparcie w tym zakresie ze strony krewnych i przyjaciół.
- Jeśli oboje rodzice rozmawiają z dziećmi w języku ojczystym, spróbuj znaleźć sposób, by jak najwcześniej weszły w naturalny sposób w środowisko językowe kraju zamieszkania. Czasem łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale tak czy inaczej trzeba próbować.